

Andrzej Tomaszek

Aplikacja w palestrze staropolskiej

Palestra 33/1(373), 79-94

1989

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Szczególnie cenny jest ostatni akapit omawianej tezy. Sąd Najwyższy trafnie podniósł, że „kara ta (kara dodatkowa zakazu prowadzenia pojazdów mechanicznych — *przyypis glosatora*) orzeczona w sposób właściwy spełnia nie w mniejszym, a niekiedy nawet w większym stopniu niż kara pozbawienia wolności wymagania i w zakresie społecznego oddziaływania, i w zakresie jej celów zapobiegawczych oraz wychowawczych w stosunku do samego sprawcy.”

KARTKI Z HISTORII

ANDRZEJ TOMASZEK

APLIKACJA W PALESTRZE STAROPOLSKIEJ

W artykule podjęto próbę scharakteryzowania aplikacji adwokackiej w przed-rozbiorowej Rzeczypospolitej w świetle konstytucji sejmowych, pamiętników i przekazów literackich. Celem autora było ukazanie przebiegu aplikacji, jak również codziennego życia i pracy ówczesnych aplikantów, w szczególności w palestrze przy sądach szlacheckich.

I. Zastępcy stron w postępowaniu sądowym ukształtowali się jako odrębna grupa zawodowa w Rzeczypospolitej w pierwszej połowie XVI stulecia. Zwani przez współczesnych rzecznikami, praktykami, przyprawcami, a najczęściej z łacińska plenipotentami i płatnymi prokuratorami (*procuratores mercenarii*), skupiali się przy poszczególnych sądach. Prowadzili sprawy zlecone im przez przyjezdnych do miasta będącego siedzibą sądu, mieli też stałych mocodawców. Wybrani, tzw. mecenasi kapitulowani, zajmowali się doradztwem prawnym i reprezentowaniem domów magnackich, co było zajęciem intratnym, a nawet zapewniającym karierę i protekcję dla członków rodziny.

W sądach szlacheckich liczba palestrantów długo nie wzrastała, gdyż szlachta uważała trudnienie się odpłatnym zastępstwem na rzecz przypadkowych mocodawców za zajęcie nie przynoszące zaszczytu, nie garnęła się więc do jego wykonywania. W mentalności ówczesnych panów-braci plenipotent pobierający wynagrodzenie od reprezentowanych obcych ludzi (a więc nie od rodziny czy magnata-dobrodzieja, którego był dworzanim) trudnił się rzemiosłem, a to nie licowało z powagą stanu szlacheckiego. Palestrantem mógł zostać każdy szlachcic czy mieszczanin po prostu przez podjęcie pracy, jeśli tylko jego umiejętności i kontakty dawały prawdopodobieństwo dopływu klientów.

Od schyłku XVI i potem w ciągu XVII stulecia sytuacja ta uległa zmianie. Wzrost liczby spraw w sądach oraz zmiany w mentalności szlachty na rzecz poglądu, że trudnienie się zastępstwem nie tylko nie przynosi ujmy, ale jest wręcz formą edukacji i rodzajem służby publicznej, szły w parze ze zwiększeniem się liczby „prokuratorów” przy wszystkich sądach, najbardziej zaś przy Trybunale Koronnym i Litewskim. Konsekwencją tego było utrudnienie dostępu do wykonywania zajęć zastępcy. Choć nie wprowadzono formalnego nakazu odbywania aplikacji ani wymagań wykazania się konkretnymi kwalifikacjami, nie można już było teraz zostać od razu plenipotentem. Intruz taki nie mógł liczyć na akceptację sądu i miejscowej palestry, na uznanie i dopływ klientów. Trzeba było wprawdzie poznać zwyczaje i realia sądowe, uzyskać przychylną miejscowych zastępców procesowych, zwanych teraz zwykle mecenasami czy patronami, wykazać się znajomością prawa, praktyki kancelaryjnej i sądowej. W taki sposób pojawiła się — jako stan przejściowy, poprzedzający samodzielne wykonywanie zawodu — instytucja aplikacji adwokackiej.

Według I. Lewina (autora rozprawy: *Palestra w dawnej Polsce*) pierwszym aktem prawnym mówiącym o aplikantach była konstytucja sejmu warszawskiego z 1673 roku, w której występuje już wyraźne rozróżnienie pełnoprawnych palestrantów-patronów i ich asystentów noszących miano agentów. Status agentów regulowały potem konstytucje z lat 1726, 1764, 1766 i 1768. Wśród historyków prawa nie ma zgody, czy status agenta był równy pozycji aplikanta oraz jaki był zakres znaczeniowy tych terminów. Naszym zdaniem tezy I. Lewina i S. Cara (autora pracy: *Zarys historii adwokatury w Polsce*), że kandydaci do palestry dzielili się na dwie grupy: aplikantów (inaczej też dependentów) i bardziej zaawansowaną agentów, nie wydają się przekonywujące. W osiemnastowiecznych aktach prawnych jako synonimy określenia agent występują terminy aplikant i dependent. Według Słownika języka polskiego S. B. Lindego za agenta uważano ogólnie „każdego pilnującego czyichś interesów” (w więc zarówno mecenas, jak jego substytut — dependent, jak również przedstawiciela handlowego), a konkretnie — „aplikanta-jurystę”. Aplikant w szerokim rozumieniu tego słowa „przysposabiający się do czegoś”, w odniesieniu do pełnoprawnego palestranta, tj. patrona, był zamiennym określeniem agenta. W tłumaczeniu zaś słowa „dependent” najistotniejsza była zależność od patrona (dependencja znaczyła zawisłość), gdyż przez to pojęcie rozumiano „nazwisko młodzieńca do nauki prawnej sposobiącego się pod mistrzem w tej mierze w naucz. biegłym, czyli mecenasem.” W XVIII wieku omawiane terminy były zatem stosowane zamiennie i nie oznaczały poszczególnych stadiów aplikacji.

Kandydaci do palestry doczekali się licznych wzmianek w kronikach i pamiętnikach współczesnych oraz w literaturze pięknej. Ponieważ wiele postaci znanych potem w życiu politycznym czy kulturalnym, jak np. Kajetan Koźmian, Józef Wybicki czy Franciszek Karpiński, aplikowało w młodości w palestrze, przeto ich wspomnienia zawierają rozliczne informacje o życiu i pracy dependentów. Historycy nie poświęcili dotychczas wiele uwagi aplikacji adwokackiej. I. Lewin w powoływanej już rozprawie poświęcił jej tylko jeden rozdział, a L. Pauli napisał o niej przed laty

artykuł w „Palestrze”. Nieco wiadomości na ten temat można znaleźć w pracach S. Cara, S. Janczewskiego, T. Wонера i W. Zarzyckiego.¹ W całości temat aplikacji adwokackiej, podobnie jak wiele innych dotyczących dziejów palestry w Polsce przedrozbiorowej, czeka na opracowanie.

II. W konstytucji sejmowej z 1726 roku znajdujemy postanowienie tej treści, że „patronowie i agenci w Trybunałach mają być szlachtą.” Usankcjonowano więc panującą już praktykę wyłączającą mieszczan z możliwości zastępstwa innych przed Trybunałami Koronnym i Litewskim. W następnych latach przepis ten interpretowano szeroko, rozciągając powyższy zakaz również na palestrę przy sądach ziemskich i grodzkich. Dla prawników plebejskiego pochodzenia pozostawały tylko sądy prawa miejskiego i prawa wiejskiego oraz Komisja Skarbowa, tzw. radomska, i sąd asesorski. Część zakazów zniesiono w 1791 roku. Dostęp do palestry miała więc młodzież szlachecka, która garnęła się do niej chętnie, traktując to jako drogę do fortuny i kariery. W „rozdziale ról” dla szlacheckich synów uwzględniano z reguły — prócz kariery duchownej, dworskiej, sejmikowej czy wojskowej (nie tylko w wojsku Rzeczypospolitej) — skierowanie jednego z potomków do palestry. Hugo Kołłątaj, charakteryzując czasy saskie, twierdził wręcz, że „młodzież wychodząca ze szkół nie miała się gdzie indziej udać, tylko do kancelarii lub do patronów w sądach grodzkich, ziemskich i trybunalskich.”² Zły stan dydaktyki w Akademii Krakowskiej i brak możliwości prawniczego kształcenia się w kraju sprawiał, że zawodu jurysty można się było nauczyć w praktyce w kancelarii sądowej, najlepiej trybunalskiej, oraz pod kierunkiem patrona. „Powszechne mniemanie uważało kancelarię za szkołę szlachetną, przez którą przejść musiała młodzież przeznaczona urodzeniem do rządzenia [w] kraju i sprawowania wszelkich urzędów publicznych. Zgoła kancelaria miała być płonnik senatorów, posłów, sędziów etc., źródło wiadomości praw krajowych” — pisał Józef Wybicki.³ Ponieważ zawód palestranta był uważany za rodzaj służby publicznej, przeto zdolniejsi, bardziej obrotni i obcy w świecie kandydaci do palestry wierzyli, że będą zapraszani do salonów, jeśli świadczyć będą usługi prawne ważnym osobistościom. Młodzież ta liczyła na karierę zawodową, potem polityczną, a także na wysokie zarobki. Nie brakowało jednak kandydatów słabszych, nie mających zamiłowania do zawodu i zaniepokojonych swoim przyszłym losem.

Po ukończeniu szkół jezuickich kilkunastoletni młodzieniec kierowany był przez rodzinę na naukę albo do kancelarii sądowej, albo bezpośrednio do patrona. Druga możliwość była korzystniejsza, gdyż pracownik kance-

¹ Zob.: S. Car: *Zarys historii adwokatury w Polsce*, Warszawa 1925; S. Janczewski: *Dzieje adwokatury w dawnej Polsce*, Warszawa 1970; I. Lewin: *Palestra w dawnej Polsce*, Lwów 1936; T. Woner: „Bunty” palestry w dobie upadku saskiego, „Palestra” 1959, s. 52—54; W. Zarzycki: Trybunalska palestra i jej oratorstwo, „Palestra” 1978, nr 10, s. 30—34; L. Pauli: O kształceniu adwokatów w dawnej Polsce, „Palestra” 1957, nr 4, s. 30—40.

² H. Kołłątaj: *Stan oświecenia w Polsce w ostatnich latach panowania Augusta III (1750—1764)*, Wrocław 1953, s. 141.

³ J. Wybicki: *Życie moje (...)*, Kraków 1927, s. 14.

larii nie miał gwarancji późniejszego aplikowania u patrona. O ile otrzymanie zajęcia kancelarzysty było stosunkowo łatwe (rodzina oddawała kandydata pod opiekę kierującego kancelarią urzędnika), o tyle dostanie się pod opiekę mecenasa wymagało wielu starań, szczególnie gdy chodziło o patrona znanego i umiejącego nauczyć zawodu. Powoływano się więc na fachowe przygotowanie, zasługi dla kraju czy koneksje na dworze, wykorzystywano stosunki, koligacje, protekcję. Nie bez znaczenia było tutaj pochodzenie z rodziny prawniczej.

Oddalony od domu rodzinnego, wkraczał przyszły palestrant w nowy, obcy świat, wymagający odpowiedzialności, a jednocześnie nęcący dorosłymi rozrywkami. Ponieważ „przy każdej tego rodzaju jurysdykcji, nawet powiatowej, było można po sto i więcej młodzieży szlacheckiej [spotkać], niekiedy synów najbogatszych obywateli”, przeto palestrant miał możliwość zawierania wielu nowych znajomości. Poznawał ponadto długoletnich kancelarzystów, którzy pogodzili się już z perspektywą pozostania na stałe w sądach. Sytuacja starszych pracowników skłaniała do pilności w pracy i okazywania posłuszeństwa przewodzącemu kancelarii regentowi.

Wśród urzędników kancelaryjnych panowała określona hierarchia. Na samym szczycie stał pisarz grodzki lub ziemski, dalej podpisek, regent i jego zastępca susceptant. Grupę urzędników niższych tworzyli inducenci, którzy przepisywali akty z protokołu (brulionu) do księgi sądowej (indukty), ekstradecenci i ferianci, którzy robili odpisy z ksiąg dla stron, lektanci porównujący treść odpisów z oryginałem, oraz klawierzy, nadzorujący poszukiwanie ksiąg w archiwum. Pracownicy ci swoje niskie wynagrodzenie otrzymywane od regenta rekompensowali możliwością poznania prawa i nadzieją na aplikowanie w przyszłości bezpośrednio u patrona. Chociaż kancelarzyści nazywani byli przez współczesnych palestrą, w rzeczywistości byli oni urzędnikami bez określonego terminu, po którym mieliby prawo przejścia do grupy zastępców procesowych. O. Balzer sądził, że zwyczajowo termin ten był określony i wynosił trzy lata, zdarzali się jednak kancelarzyści, którzy pracowali „przy aktach” nawet po lat kilkadziesiąt. Istota związku pomiędzy urzędnikami kancelarii a plenipotentami, pomimo wspólnej nazwy, polegała na tym, „że — jak pisał J. Rafacz — z jednej strony urzędnicy ci często wysługiwali się właściwym zastępcom, a z drugiej — z nich to właśnie, obznajomionych z praktyką sądową, rekrutowali się prokuratorowie.”⁴

Przyszły jurysta, uczący się swego zawodu w kancelarii, miał tylko wyniesione ze szkół jezuickich podstawowe przygotowanie polegające na umiejętności czytania i pisania w języku polskim i łacińskim. Dalszą jego edukację tak przedstawiał Józef Wybicki: „Wkrótce nauczyłem się, jak zwykle na pamięć, akcesoriów. Miała to być książka elementarna prawnictwa. Postąpiłem, co było najważniejszym, w aktykancji; tem słowem barbarzyńskim nazywano sposób pisania czy zapisywania wszelkich czynności prawnych między stronami zaszytych albo z wyroków sądu. Dzień i noc męczyłem się na osobności nad czytaniem statutów Herburta i korek-

⁴ J. Rafacz: Zastępcy stron w dawnym procesie polskim, Kraków 1924, s. 19.

tury pruskiej, nie mając najmniejszego wyobrażenia ducha praw i jego zasad. Nie znając różnicy, co prawo natury, polityczne, cywilne, kryminalne i narodów znaczyć w gruncie miało. Wymawiałem prawa rzymskie, statuta magdeburgskie jak papuga z zwyczaju, bo tak całe godne moje zgromadzenie czyniło." Pamięciowe opanowywanie formułek i przebiegu czynności procesowych bez wnikania w istotę instytucji prawnych było powszechnie przyjęte, gdyż przygotowanie takie wystarczało na potrzeby ówczesnej praktyki. Opanowanie kazuistyki bez wiedzy teoretycznej sprawiało aplikantom duże trudności, pomagano więc sobie nielicznymi podręcznikami, zbiorami praw i radami starszych kolegów. Ciągłe powtarzanie tych samych czynności pozwalało nabrać w końcu potrzebnej wprawy. Aplikant J. Wybicki, pomimo początkowych trudności, potrzebował tylko dwóch lat praktyki w kancelarii, aby zdobyć umiejętności pozwalające mu na występowanie przed sądem. „Nabywałem z doświadczenia wiadomości praktycznej, tak iż w siedemnastym roku [życia jako] pierwszy kancelarzysta zacząłem stawać przed sądy odzywać się, jak mawiano, w sądach grodzkich i ziemskich” — wspominał z dumą.⁵

Kancelarzysta po pewnym czasie zapamiętywał treść formułek i wymagania procedury. Jeśli ktoś czuł nad jego karierą, to otrzymywał, po udowodnieniu poczynionych postępów, poważniejsze zadania, jak np. zredagowanie manifestu (środka zaskarżenia). Pomyślne przejście takich prób dawało możliwość awansu w ramach kancelarii lub jej opuszczenie i aplikowanie bezpośrednio u patrona.

Zdaniem H. Kołłątaja palestranci z sądów miejskich mieli lepsze przygotowanie do zawodu, „chcącemu albowiem wyjść na dobrego patrona w asesorii nie dosyć było umieć prawo krajowe, a [le] nadto prawo rzymskie, cywilne i municypalne, naukę dyplomatyczną [o dokumentach — *przyjp. aut.*] w ogólności i w szczególności przywileje wielu miastom służące.” Na dobre przygotowanie plebejskich palestrantów w sądach asesorskich wskazywał też J. Kitowicz, konstatując jednocześnie, że ci znając swoją wartość, „drożej rozum swój przedawali.” Szlachecka palestra złośliwie nazywała aplikantów asesorskich torbiferami dlatego, „że dokumenta i księgi prawne za swymi pryncypałami nosili na sądy w torbach płóciennych.” Swoją lepszą znajomości prawa palestranci ci nie mogli wykorzystać przed sądami szlacheckimi, gdyż, jako plebejusze, nie mieli prawa tam występować.

Pierwszy etap aplikacji mógł obfitować w przygody, i to nie zawsze przyjemne. Kancelarzyści stanowili bowiem zróżnicowaną grupę zawodową i nie brakowało wśród nich osób wchodzących w kolizję z prawem. Jak pisał P. Dąbkowski, urzędnicy kancelarii dopuszczali się nieraz nadużyć, wymuszali od zainteresowanych łapówki za dokonanie czynności, fałszowali lub gubili dokumenty. Amatorzy hulanki zamieniali czasem — oczywiście pod nieobecność przełożonych — kancelarię w salę biesiadną czy miejsce schadzek. Kancelarzyści uczestniczyli w bójkach, awanturowali się, byli nawet sprawcami rozbojów. Dla wkraczającego do w to zróżnicowane środowisko młodzieńca kontrast z rodzinnym domem na wsi był

⁵ J. Wybicki: *op.cit.*, s. 15, 17.

znaczny, skoro S. Staszic, pisząc o edukacji młodzieży, stwierdzał w 1784 roku: „Do kancelarii oddawać dzieci słusznie lękają się rodzice, u nas kancelaryje są najpierwszą zgubą młodzieży. W naszych miastach grodzkich kto po nocach burdy stroi, a kto po ulicach hałasy robi? — kancelarzysta.” Opierając się na tej ocenie proponował, by nad kształceniem młodzieży w kancelariach nadzór przejęła Komisja Edukacyjna.⁶

Rozpoczęcie aplikacji bezpośrednio u patrona oznaczało dla młodego palestranta nowe zadania. Były kancelarzysta mógł liczyć na występowanie wraz z patronem w sprawach, ale nowicjusz w palestrze miejskiej mógł zaczynać od czynności nie związanych z zawodem. Początkujący musieli — jak pisał J. Kitowicz — „mieć nogi nieleniwe do wszelkich usług i poselstw Imć pana patrona i Jejmcj pani patronowej, czasem nawet po pietruszkę na rynek albo do szewca po trzewiki.” Wiele zależało od tego, do jakiego patrona aplikant trafił. Jan Dunklan Ochocki, dependant bez uprzedniego prawniczego przygotowania i miejscowych protektorów, tak wspominał swoją aplikację przy patronie grodzkim w Żytomierzu: „Mecenas mój, pan Gromnicki, mieszkał na jednym końcu miasta, ja na drugim, musiałem dwa lub trzy razy na dzień chodzić do niego. Żytomierz, nie brukowany wtedy jeszcze, tak był błotnisty, gdym mój zawód poczynął, że z kału trudno było nogi wyrwać; wszystko gniło na mnie, a odnowić sukni i obuwia nie było za co.”⁷ W „mizernej stacji i innym niedostatku [...], że już zaczynał chorować i bardzo był mizerny”, znajdował się też Józef Matuszewicz, aplikujący w Lublinie u patrona trybunalskiego Lechnickiego, dopóki go brat Marcin, wykorzystując protekcję, nie przeniósł pod inną opiekę.⁸

Istotne znaczenie dla aplikanta miała pozycja patrona. Cytowany wyżej J. Dunklan Ochocki był rozgoryczony, kiedy — już po złożeniu przysięgi adwokackiej w Żytomierzu — został przez swych nowych protektorów wysłany do patrona Nowoszyckiego, praktykującego przy Trybunale Koronnym w Lublinie, z zadaniem poszerzenia wiadomości i wejścia w nowe środowisko, a okazało się, iż jego opiekun „z nikim nie żył, stosunków mu brakło samemu.” Pamiętnikarz ubolewał, że Nowoszycki nie mógł i jego „wprowadzić między ludzi. Miał wszystkiego dwóch pryncypałów [klientów — *przyp. aut.*], ale tego Trybunału [w tegorocznej sesji

⁶ P. Dąbkowski: *Palestra i księgi sądowe trembowelskie za czasów polskich*, Lwów 1920, s. 12—23, 28—29; S. Staszic: *Uwagi nad życiem Jana Zamoyskiego*, Wrocław 1951, s. 38.

⁷ J. Dunklan Ochocki: *Pamiętniki*, t. I, Wilno 1857, s. 162.

⁸ O tym, że nie tylko w Koronie, ale także na Litwie sytuacja aplikantów w końcu XVIII stulecia była pożałowania godna, pisze dość obszernie i interesująco palestrant żmudzki Wincenty Wizbor-Bohdanowicz w swym pamiętniku pt.: *Szczegóły niektóre życia mego. Fragmenty tego pamiętnika (w opracowaniu redakcyjnym T. Rolanda pt. „O aplikantach i adwokatach na Żmudzi”)* opublikowane zostały w jednym z zeszytów Biblioteki PALESTRY z 1978 r., mianowicie w „Szkicach z dziejów adwokatury polskiej (seria II) pod red. adw. R. Łyczywka, Warszawa 1978, s. 97—105 (wkładka do nru 4 „Palestry”) (*Przyp. Red.*)

— *przyp. aut.*] obu tych spraw nie było.” Z pobytu w mieście trybunalskim skorzystał więc tylko tyle, ile sam usłyszał i zanotował w prowadzonym dla własnej edukacji diariuszu.

Jeżeli aplikant mieszkał i stołował się u patrona (co było regułą w palestrze miejskiej, a wyjątkiem w szlacheckiej), to zależności pomiędzy nimi były silniejsze i upodobniały się do stosunków panujących w cechach rzemieślniczych. Aplikant-szlachcic starał się sprowadzać zależność od patrona tylko do sfery zawodowej. Wspomniany aplikant Jan Dunklan Ochocki, choć bardzo skromnie wyposażony z domu i nie zarabiający wiele, wynajmował kwatery oraz miał własnego służącego. „Wyrostkowi mojego wieku, którego miałem do usługi, płacić musiałem za jego stół 50 groszy na tydzień, ale sam ani śniadania, ani podwieczorku kupić sobie nie miałem za co” — pisał z żalem. Pamiętnikarz miał „stół u swojego mecenasa”, tzn. był zwyczajowo zapraszany na obiady i kolacje wraz z innymi aplikantami. Jakby z pewną ironią wspominał Ochocki, że „jeśli on sam [tj. patron — *przyp. aut.*] był na obiedzie, choć źle, było przecie tyle, że się z głodu nie marło, lecz że często go zapraszano, ja z towarzyszami cierpielśmy głód, bo nas wówczas karmiono Bóg wie tylko jak.” Można sądzić, że żytomierski patron wolał żywić aplikantów niż płacić im za czynności.

Osobowość mecenasu rzutowała nie tylko na byt aplikanta, ale i na jego prawniczą edukację. J. Wybicki uczył się sam, kupował książki prawnicze i starał się wyciągać wnioski z zasłyszanych wystąpień znanych plenipotentów, co przy umiejętnościach nabytych w kancelarii dawało pozytywne rezultaty. Pracował dużo, spędzał noce na lekturze dokumentów. I on jednak nie czuł się dobrze przygotowany do zawodu. K. Koźmian przyznawał po latach, że zarówno on jak i jego przyjaciel, późniejszy poeta i dramaturg Alojzy Feliński, zniechęcili się do zawodu prawniczego na skutek braku właściwej edukacji. „Obaj — pisał Koźmian — mieliśmy mecenasów, których krytykować nie śmieliśmy, a których rozpraw od krątek [wystąpień przed sądem — *przyp. aut.*] nie zawsze mogliśmy zrozumieć. Feliński dependował u Antoniego Dmochowskiego, który tak górnio i wysoko mówił, że sam siebie nie rozumiał. Podchoreński [patron K. Koźmiana — *przyp. aut.*] brzmiącym głosem, łatwo, ale tak rozwlekle, bez porządku i często niezrozumiale, że z tej wiklaniny słów trudno było co dobrze pojąć.”⁸ Ta surowa ocena młodych wydaje się trafna, skoro pamiętnikarz, praktykujący potem prawnik, zaznaczył, że nie mieli obaj żadnych trudności w pojmowaniu wystąpień innych patronów, przy czym właśnie na podstawie porównania obu wymienionych wyżej mecenasów z tymi innymi wyciągnął wniosek, że nie aplikanci byli tu winni.

Czas trwania aplikacji u patrona nie był określony. Jak to lapidarnie określił J. Kitowicz, „promocja do patronizacji zależała od aplikacji i łaski pryncypała.” Mogła więc trwać i sześć lat w zależności od postępów podopiecznego. Przebieg praktyki był podobny w palestrze przy każdym z sądów. Najpierw młody palestrant nosił za mecenasem papiery, segregował i zszywał jego akta, wykonywał czynności techniczne i porządkowe,

⁸ K. Koźmian: Pamiętniki, t. I, Wrocław 1972, s. 144.

asystował patronowi przed sądem, przysłuchując się tylko. Kiedy już nabrał wprawy w czynnościach i osłuchał się w sądzie, dopuszczano go do pisania pism procesowych i sporządzania streszczeń akt na użytek patrona. Nie wszystkim przychodziło to łatwo, szczególnie mieli trudności młodzi palestranci pozbawieni przygotowania kancelaryjnego. „Rozumienie słów nie czyniło mnie pewnym rozumienia rzeczy i kiedym się na to mecenasowi lub przyjaciołom skarżył i do nieświadomości znaczeń przyznawał w wielu słowach, albo mi nie wierzono, albo że przyjdzie z czasem - obiecywano. Ja [...] płonałem od wstydu, że mi jeszcze czasu czekać potrzeba, żebym principia praw i słów znaczenia poznawać umiał” — skarżył się aplikant Michał Zaleski.⁹

Kolejnym stopniem wtajemniczenia było samodzielne, choć krótkie wystąpienie przed sądem i podyktowanie do protokołu komparycji, tj. oznaczenia stron i przedmiotu sprawy, w czasie czekania na nadejście patrona. Pozwalało to pozbyć się tremy przed publicznymi wystąpieniami.

Występujący przed sądem nuncjusza papieskiego w Rzeczypospolitej aplikanci z palestry asesorskiej popisywali się znajomością prawa i łaciny. Ze względu na dominującą przed tym trybunałem zasadą pisemności, ich zadanie polegało również na zredagowaniu i umieszczeniu w księgach sądowych pism procesowych jeszcze przed rozpoczęciem postępowania dowodowego.

Aplikant o dłuższej praktyce był dopuszczany do udziału w konferencji, tj. w obradach patronów z klientami. Była to najczęściej biesiada połączona z czytaniem dokumentów i referowaniem sprawy. Trwać mogła nawet kilka godzin w zależności od liczby uczestników i ilości podawanych przez zainteresowanego gospodarza potraw i trunków. Mecenas, po obejrzeniu przygotowanych materiałów, wyrażali swój pogląd o sprawie i przedstawiali najskuteczniejszy sposób obrony interesów klienta. Aplikant przysłuchiwał się obradom, a następnie musiał zebrać i uporządkować dotyczące sprawy dokumenty, zrobić ich spis i dokonać streszczeń. Strony powierzały mu posiadane materiały, a on przeglądał je i selekcjonował. Kiedy sprawę rozpatrywano w sądzie, aplikant asystował patronowi przy jego wystąpieniu i okazywał dokumenty na dowód stawianych tez albo odczytywał ich treść, a patron komentował ją, wywodząc wnioski na korzyść klienta.

W pracy obowiązywały aplikantów te same zasady, co patronów, określone postanowieniami konstytucji sejmowych i ordynacji poszczególnych sądów. Nakazywały one lojalność wobec mocodawców, staranność w działaniu i przestrzeganie tajemnicy adwokackiej. Za zdradę interesów klienta groziły surowe kary. Wobec sądu należało zachować szacunek. Zakłócenie jego funkcjonowania, udział w burdach czy choćby wywoływanie zamieszania w izbie sądowej były naganne. Przed sądem należało wypowiadać się rzeczowo. Pisma procesowe miały być konkretne i pozbawione określeń obraźliwych pod adresem przeciwnika. W konstytucji pt.: Agenci (z 1726 roku), odnoszącej się do ogółu zawodowych zastępców, a więc mecenasów i aplikantów, postanowiono:

⁹ M. Zaleski *Pamiętniki*, Poznań 1879, s. 33.

„Ciąż attendenci spraw, aby ze wszelką gotowością do sądów z dokumentami przychodzili, aby doskonale wiedzieli, jakie in antecessum zażywane były dylacje [odroczenia rozprawy — *przyp. aut.*] od pryncypałów [klientów — *przyp. aut.*] i onych secundario nie pretendowali, i tym Sądów sub poena turris nie trudnili, aktorów [tu: klientów — *przyp. aut.*] swoich poruczone sobie negotia, wiernie i prawdziwie promowali, lege praesenti circumscribis, przydając, iż kto by z tych agentów, upewniwszy kogokolwiek pilnością i pracą, a potem per praeveraricationem et conductamen z przeciwną stroną, czyli per negligentiam, dopuścił kondemnować i stąd pochodzących szkód był okazją, takowy, prócz kompensacji causatorum damnorum, poenis legum pro qualitate excessus, podług prawa, etiam criminalibus karany, i bez procesu za podaną od strony ukrzywdzonej do Sądu supliką termino tacto in instanti, vel in crastinum, et ex registro causarum, mere degentium incarceratorum sądzony będzie, których to agentów post praeveraricationem i testimonia być nieważne mają.”¹⁰

Aplikantów obowiązywały nadto liczne zakazy wynikające ze specyfiki wykonywanego zajęcia. Nie mogli oni służyć zawodowo w wojsku, sprawować urzędu sędziego, podsędka i pisarza sądowego. Zgodnie z postanowieniami konstytucji sejmowej z 1768 roku ten, kto udowodnił dependentowi, iż oprócz wykonywania tej pracy ma urząd „komornika tak ziemskiego, jako i granicznego, bądź wiceregenta, subdelegata, regenta, a co dopiero sędziego”, otrzymywał kosztem obwinionego 2000 grzywnien nagrody. W konstytucjach z lat sześćdziesiątych XVIII wieku narzucono mecenasom przy poszczególnych sądach odpowiedzialność za dependentów. Obowiązywały także dodatkowe, lokalne i epizodyczne, tj. obowiązujące tylko podczas jednej kadencji, przepisy.

Po kilku latach praktyki nadchodził wreszcie dla aplikanta moment próby: samodzielne poprowadzenie sprawy w sądzie. I. Krasicki w formie relacji jednego ze swych literackich bohaterów przedstawił następujący opis tego istotnego dla młodego palestranta, który „bardziej w dalszych czasach ośmielony” zrobił karierę zawodową, a do przeszłości zachował krytyczny stosunek, sprawdzianu: „Po lat[ach] sześciu mój mecenas, podobno świadom owej doktorów maksymy: faciamus experimentum in anima vili, kazał mi stawać w sprawie jednego ubogiego szlachcica. Gotowałem się dni kilka, ale gdy przyszło do indukty, zacząłem mówić drżącym głosem; pomyliłem się w słowie — sędziowie w śmiech, szlachcic w płacz; ledwom mógł konkluzją zadyktować. Łaską Pana Boga, nie moją elokwencją wsparty, wygrał ów nieborak sprawczynię swoją.”¹¹

W XVIII-wiecznej palestrze byli i tacy aplikanci, co od początku świetnie sobie radzili, zastępując patrona i już po roku edukacji uzyskiwali samodzielność. J. Dunklan Ochocki bronił z dobrym skutkiem na swej debiutanckiej sprawie klienta zagrożonego karą śmierci. Jego mowa „się sądowi i mecenasom spodobala, pryncypał [klient — *przyp. aut.*] [...] uszedł szubienicy i stryczka, a mecenas podali ilację, prosząc sąd o przypuszczenie [...] do przysięgi super patrociniū” aplikanta.¹²

¹⁰ Volumina Legum, t. VI, s. 479—480.

¹¹ I. Krasicki: Mikołaja Doświadczyńskiego przypadki, Wrocław 1954, s. 95.

¹² J. Dunklan Ochocki: op.cit., t. I, s. 181—182.

Złożenie takiej przysięgi przez kandydata oznaczało koniec aplikacji. Roty przysięgi redagowane były na potrzeby poszczególnych sądów i różniły się nieznacznie w zależności od ich specyfiki. W 1768 roku po zreformowaniu Trybunału Koronnego opracowano najpełniejszy tekst tego adwokackiego ślubowania. Brzmiał on następująco:

„Ja, N., przysięgam Panu Bogu etc., iż stronie, która mnie do sprawy swej wokować będzie, wiernie służyć mam, salarium zbytecznego, czyli pensji wyciągać nie będę, ale się danym przez pryncypała kontentować [będę], a oneż wzięwszy od sprawy nie tylko nie odstąpię, i papierów stronie przeciwnej, ani przez siebie, ani przez subordynowane osoby nie wydam i stronę przeciwną informować nie będę. Także rady na zwłokę sprawiedliwości przeciwko prawu na wyniszczenie stron pozywających się pryncypałom moim żadnym pretekstem lub kolorem dawać nie będę. Dokumentów, które mi powierzone będą, na uniknienie lub przytłumienie sprawiedliwości, taić nie mam, ale spraw mających in longo wypisywane merita Sądowi rzetelnie, bez uszczerbienia cudzej sławy, wcześniej wygotowawszy, podawać będę. Sumariusze sedulo i wiernie spisywać, i one własną ręką podpisywać zawsze będę. Za dependentów moich w odpowiedzi być obowiązuję się. Tak mi, Panie Boże, dopomóż, etc.¹³

Zobowiązania wynikające ze złożenia przysięgi najszerzej scharakteryzował I. Lewin. Najistotniejsze z nich to należyta staranność w działaniu i lojalność wobec klienta. Fakt złożenia przysięgi odnotowywano w księgach sądowych, i palestrant mógł przystąpić wreszcie do samodzielnego wykonywania zawodu.

Istotną okolicznością rzutującą na sytuację młodego plenipotentą była widoczna w drugiej połowie XVIII wieku tendencja do ograniczania liczby zastępców przy poszczególnych sądach. Nie zmniejszało to drastycznie szans kandydatów, ale utrudniało im start zawodowy. Najtrudniej było zostać patronem przy Trybunałach Koronnym i Litewskim. Skupiona wokół obu Trybunałów palestra stanowiła elitę zawodową, ciesząc się prestiżem w współczesnych i czerpiącą ze swej działalności spore zyski. Nic zatem dziwnego, że palestranci, już po uzyskaniu uprawnień przy sądach grodzkich i ziemskich, przyjmowali zajęcie aplikantów w palestrze trybunalskiej, aby przez wejście w miejscowe środowisko palestranckie podnieść swój status i zwiększyć zarobki. Taka była droga kariery zawodowej. „To już było maximum ówczesnej edukacji naszej” — pisał J. Wybicki, którego nie satysfakcjonowało samodzielne występowanie w sądach ziemskich i który pojechał do Trybunału, aby być tam tylko dependentem, ale z widokami na przyszłość. Nie otrzymał on tam oczekiwanej edukacji, ale po powrocie do swego województwa — jak pisał — „światniejszym się zrobiłem na wszelkich magistraturach. To słowo trybunalczyk było u nas tyle znaczącym w sądownictwie, co bohater w wojskowości.”¹⁴ W najlepszej sytuacji byli zatem ci, którzy od początku aplikowali u patronów trybunalskich, jak Kajetan Koźmian i Józef Matuszewicz.

¹³ Konstytucja pt. „Złączenie Trybunału Koronnego” z 1768 r., Vol. Leg., t. VII, s. 700.

¹⁴ J. Wybicki: op.cit., s. 24, 27.

W sądzie asesorskim uzyskanie uprawnień adwokackich miało dodatkową zaletę. Patron, choć i plebejusz z pochodzenia, „brał patent od króla na sekretarza Jego Królewskiej Mości”, co uprawniało go do używania tytułu „generosus”, czyli urodzony. Była to więc swoista nobilitacja poprzez karierę zawodową.

W czasach stanisławowskich, w ramach działań zmierzających do reformy prawa krajowego, podjęto też próbę ustawowego unormowania instytucji aplikacji. W opracowanym w latach 1776—1778 projekcie Zbioru praw sądowych Andrzeja Zamoyskiego znalazły się istotne postanowienia dotyczące tej kwestii.¹⁵ W § 1 art. XIII stwierdzono, że patronem może być osoba „dobrych obyczajów”, władająca doskonale językiem polskim i łacińskim, znająca „prawo krajowe publiczne i cywilne”, prawa natury i prawo rzymskie, jak również obeznana w „historii narodowej”. Chętny do wykonywania zawodu patrona „dla nabycia wspomnianych umiejętności” powinien najpierw co najmniej trzy lata pracować w kancelarii, a następnie jeszcze „w praktyce u patrona agentować” (§ 2). Jeśli na zakończenie każdego ze stadiów aplikacji otrzyma „attestatum”, czyli pozytywną opinię — wpiery od regenta kancelarii, iż pełnił swe obowiązki nienagannie, a potem od patrona, że „jest do patronizacji zdatnym” — może być dopuszczony do złożenia egzaminu. Po pomyślnym jego zdaniu kandydat powinien złożyć odpowiednią przysięgę wobec sądu, na dowód czego spisany zostanie specjalny protokół wprowadzony do ksiąg sądowych (§ 3). Wyciąg z tego protokołu miał być dla palestranta legitymacją zawodową (§ 6). Po dopełnieniu wymienionych czynności nowy palestrant miał prawo do występowania tylko przed sądami pierwszej instancji. Aby występować przed sądem wyższym, musiał uzyskać rekomendację właściwej palestry i wpis na listę patronów tego sądu (§ 4). W projekcie podkreślono, że patron przy sądzie wyższym zachowywał prawo do wystąpień przed niższymi sądami (§ 5). Projekt Andrzeja Zamoyskiego, chociaż kompromisowy, został odrzucony przez sejm w 1780 roku.

III. Sytuacja materialna aplikantów była zróżnicowana, często jednak trudna. Pobyt w mieście trybunalskim kosztował wiele, patronowie — szczególnie trybunalscy — żądali opłat za przyjęcie aplikanta, potem zaś nie kwapili się do jego utrzymywania. Duże znaczenie miało wsparcie finansowe rodziny. J. Wybicki podkreślał z dumą swoją materialną niezależność. „Lubo byłem dependentem z nazwiska — pisał — ale opatrzony na wydatki od matki, ani miałem stancji, ani stołowany nie byłem u mecenasów, w szczupłym przeto, lecz własnym moim zakątku nie znałem służebniczej roli dependenta i podłej opłaty przekupnia.”¹⁶ Biegli w prawie aplikanci nie zarabiali źle, szczególnie po dłuższej praktyce. F. Karpińskiemu, jak sam przyznawał, „gęste złotówki przychodziły”, gdyż był znany „ze zręczności i dokładności pisywania pozwów” i klienci chętnie się do niego zwracali. Im więcej było pracy, tym w zasadzie większy był zarobek, a jeżeli na młodego dependenta zwrócił uwagę któryś z magna-

¹⁵ Korzystałem z wydania pt. „Zbiór praw sądowych przez ex-kanclerza Andrzeja ordynata Zamoyskiego ułożony i w roku 1778 drukiem ogłoszony”, Warszawa 1874, s. 95—96.

¹⁶ J. Wybicki: op.cit., s. 25.

tów, dostojników państwowych czy kościelnych, upatrując w nim na przyszłość stałego pełnomocnika („kapitulowanego mecenasa”), to taki aplikant mógł liczyć na stałe dochody i pomyślną przyszłość.

Aplikanci na ogół dążyli do uzyskania prawniczej edukacji i możliwie szybkiego usamodzielnienia się. Dla wielu była to szansa jedyna, której nie mogli zmarnować. K. Koźmian jako aplikant w Lublinie musiał co tydzień posyłać ojcu dokładne relacje z toczących się spraw, streszczenia słyszanych wystąpień obrończych, wyroków i uzasadnień. Jego ojciec miał kamienicę w mieście i mógł przyjechać, by skontrolować poczynania syna, młody palestrant starał się więc korespondencyjnie wykazać swą pilność i zaangażowanie. Nauka i praca popłacała, gdyż — jak pisał J. Kitowicz — wielu „chudych pacholków, aplikując się szczerze [...], przychodziło do znacznych substancji i wysokich honorów.” Byli też młodzieńcy, często do znanych rodzin, którzy traktowali aplikację jako czas rozrywki w oderwaniu od rodzinnego domu. Ci „pracy nie lubiący, straciwszy po kilka lat w palestrze na rozpuście i próżnowaniu, z pustymi workami i łbami częstokroć do domu powracali.”¹⁷

Sesje Trybunału wprowadzały ożywienie również w życie świata prawniczego. Wraz z całą palestrą młodzież palestrancka witała deputatów Trybunału, asystowała w świeckich i kościelnych uroczystościach inauguracyjnych. Gdy Trybunał rozpoczynał funkcjonowanie, nastawał czas biesiad i zabaw. Młody palestrant miał teraz okazję nawiązania korzystnych znajomości i wejścia do liczących się domów. Kto miał szczęście być przedstawiony stojącym na czele Trybunału — świeckiemu marszałkowi i duchownemu prezydentowi — „ten raz na zawsze zaproszony został na bale, ansamble i obiady.” W Lublinie miejscem spotkań był pod koniec XVIII stulecia teatr, gdzie według H. Rzewuskiego wielokrotnie przerywano spektakle oklaskami na powitanie wchodzących na widownię osób.

Podczas codziennych obrad Trybunału zdarzały się dłuższe przerwy, tzw. ustępy, podczas których komplet sędziący zastanawiał się nad orzeczeniem. Zgromadzeni klienci i palestranci, oczekując na werdykt sądu, nudzili się, starsi zabawiali się więc wówczas rozmowami, a młodzi — jak pisał J. Kitowicz — „rozmaitymi figlami do śmiechu starszych pobudzającymi i nimi tęsknicę uśmierzającymi. Nieraz z takowych żartów przychodziło do czupryn i policzków, w które, gdy się bardzo wdali, starszyzna ich rozgramiała, lubo czasem wytaczała się kłótnia za miasto, do szabelek, acz te, jako między swoimi, młodzieżą krótko zapalczywą, więcej czapek i sukien niż ciała psowały, potem się takie pojedynki kieliszkami wina lub flaszki miodu przy chlubie rycerskich serc zakończyły.” W miastach trybunalskich dochodziło do bójek między palestrantami a osobami postrojnymi. Najwięcej zatargów bywało z oficerami garnizonu („potyczki

¹⁷ J. Kitowicz: *Opis obyczajów za panowania Augusta III*, Wrocław 1970, s. 178, 179.

do krwi rozlania i zabójstwa”), które zazwyczaj kończyły się ugodą, a wyjątkowo procesem.¹⁸

Do specyfiki zgromadzeń przy okazji sesji Trybunału, sądów ziemskich i grodzkich, a także i sejmików ziemskich należało pojedynkowanie się na palcaty, czyli kije drewniane. Maniera ta, wyniesiona zapewne ze szkół jezuickich, miała swoją zwyczajową oprawę. Wkrótce po wyborze władz Trybunału służba palestry, deputatów i licznych klientów zbierała się na rynku i toczyła walki na kije dobrane według wieku i możliwości szermierzy („najcieńsze dla młodych chłopców jak palce, najgrubsze dla wężalów jak kostur”), aż do wyłonienia najlepszych spośród siebie. Tych okrzykiwano — analogicznie do władz Trybunału — marszałkami i instygatorami. Tak ukonstytuowane zgromadzenie wymuszało następnie haracz od miejscowych Żydów (co w wypadku oporu kończyło się bójką) oraz przystępowało do wykonywania „jurysdykcji kijowej.” Kto przechodził w pobliżu zgromadzonych, był chwytny i zmuszany do toczenia pojedynków na „palcaty.” Jeżeli podjął wyzwanie, to bez względu na wynik walki zdobywał szacunek „koła kijowego”, a w wypadku pokonania władz koła, mógł nawet zostać jego nowym marszałkiem. Jeśli zaś nie chciał walczyć, mógł się wykupić i „wolność miał już na zawsze od koła, ale bez zaszczytu pobratymstwa, z przydatkiem tytułu obelżywego.” Władze koła pilnowały, aby pojedynki toczyły się zgodnie z przyjętymi zasadami, „aby nadto jeden drugiemu krzywdy nie uczynił albo go zdradą nie zażył, albo żeby się zawziętość, z bitwy kijowej poczęta, za koło do szkodliwego oręża nie wytaczała i w kole się przez wzajemne przeprosiny kończyła.” Zdarzało się, że świetni szermierze „dla uciechy sobie uczynienia” udawali tchórza i prowokowali zgromadzonych do pojedynków, dając następnie popis swych umiejętności kosztem przeciwników. Były to przykre nauczki i „speszeni kołownicy drugich podobnych nie zaraz zaczepiali.”

W zabawach tych uczestniczyli także młodzi palestranci. Jeżeli wierzyć przekazowi literackiemu H. Rzewuskiego, aplikanci lubelscy mieli nawet swoje zgromadzenie za murami miejskimi przy gościńcu lwowskim. W pobliżu gromadzi się tam wielki kamień młyński i kto, choćby nieświadomie, go dotknął, podlegał „jurysdykcji” aplikantów, musiał więc toczyć pojedynki z nimi, i to nie na palcaty, lecz na szable. Bohater opowieści Bartłomiej Chodźko, eks-aplikant litewski, a wówczas sędzia upicki, szermierz zawołany, zadrwił sobie ze zgromadzonej młodzieży. Udając przestraszonego sprowokował przeciwników, a następnie pokonał kolejno trzech aplikantów wraz z „marszałkiem kołowym.” Zyskał w ten sposób szacunek u miejscowych palestrantów i otrzymał zaproszenie na hulankę. Biesiadowali razem całą noc, a następnego dnia jeszcze miejscowi aplikanci oprowadzali go po mieście.¹⁹

Miejscem spotkań lubelskich aplikantów była kawiarnia w jednej z kamienic koło bramy krakowskiej, gdzie „staruszka imieniem Jonesowa

¹⁸ Ibidem, s. 179—180, 182—183. Por. też M. Matuszewicz: *Diariusz życia mego* t. II, Warszawa 1986, s. 388.

¹⁹ H. Rzewuski: *Pamiętki Soplicy*, Warszawa 1961, s. 114—116.

szynkowała kawę.” Młodzież palestrancka spędzała też czas za murami miejskimi, w innych rozrywkowych celach. Czas płynął na spacerach po ogrodzie, na schadzkach z „obywatelkami z miasta”, wreszcie na hazardzie, gdyż jak zauważył K. Koźmian, „graczów, szulerów było pełno i banki zakładano”. Były też wydarzenia, o których opowiadano jeszcze następnym pokoleniom, jak choćby procesja rozebranych biesiadników, gości sekretarza koronnego Michała Granowskiego, ulicami Lublina do prezydenta Trybunału, albo dziwaczne upodobania do przebierania się w stroje płci przeciwnej Wincentego Tyszkiewicza i jego żony w Świłoczy pod trybunalskim Grodnem lub tam urządzona inscenizacja wjazdu nunjusza papieskiego.

Aplikanci spędzali wolny czas gromadnie. Nie lubiono więc odludków stroniących od biesiad i hulanek ani kolegów goniących tylko za groszem. Patronowie mieli obowiązek pilnować dobrych obyczajów swych podopiecznych. Nie było to łatwe, gdyż w miastach nie brakowało okazji do „nieobyczajnych” rozrywek. Co prawda J. Dunklan Ochocki pisał, że „nieszczęśliwy młody, którego zanotowano ze złych obyczajów, wszystkie drzwi miał przed sobą zaparte, musiał wyjeżdżać”, ale w praktyce wypadki takie tolerowano. Przyłapany mógł się spodziewać nagany na niedzielnej sumie w kościele z ust jezuity-ordynariusza trybunalskiego, lecz nie ostracyzmu środowiska. Czasem, zdybany przez instygatora z prostytutką, dla zachowania dyskrecji musiał zapłacić sowitą łapówkę.

Młodzież palestrancka potrafiła też skutecznie dokuczyć źle prowadzącym się deputatom, w szczególności jawnym łapownikom. Pisano przeciwko takim paszkwile, rozwieszane potem w mieście i drwiono z nich publicznie. Palestra demonstrowała na zewnątrz swą solidarność, szczególnie gdy w następstwie zatargu z jakimś deputatem jej przedstawiciel był pokrzywdzony. Zdarzało się nawet, że wysłannik Trybunału przeproszał palestrę, gdy patronowie i aplikanci, reagując na krzywdę któregoś z nich, odmawiali występowania przed sądem. Aplikanci mogli więc liczyć na wstawiennictwo patronów w słusznej sprawie, choć wobec „buntów” palestry deputaci nie zawsze byli ulegli, a zainteresowana w obradach sądu szlachta reagowała nawoływaniem na sejmikach do ukrócenia takich praktyk. Za strajki groziła patronom surowa kara. „Mecenasowie za najmniejszy tumult tak swój, jako i dependentów swoich, będą ad delationem cuius vis podlegać poenie duorum millum marcarum, et sessionis turris sześciu niedziel” — postanowiono w konstytucji z 1768 roku, penalizując w ten sposób również udział aplikantów w bójkach i zamieszkach. Mecenasowi mieli też obowiązek przedstawienia sądowi spisu swych aplikantów w celu ich identyfikacji.²⁰

Ponieważ sądy, a szczególnie Trybunały, były w XVIII wieku często miejscem rozgrywek politycznych, również aplikanci brali udział w sporach pomiędzy frakcjami magnackimi. Angażując się w prowadzenie spraw jednej ze stron będących w sporze, korzystali z protekcji patrona, ale też musieli się liczyć z potężnymi wrogami. Życie zawodowe łączyło się wtedy ściśle z życiem prywatnym i konsekwencje przegranej protekto-

²⁰ Vol. Leg., t. VII, s. 101—102.

rów w rozgrywkach politycznych dotyczyły wszystkich sfer życia ich stronników.

W Trybunałach palestranci prezentowali się okazale i bogato. Aplikanci, podobnie jak mecenas, przywdziewali stroje szlacheckie w kolorze swych województw. Dependenci lubelscy nosili pąsowe kontusze z kołnierzami i zielonymi wyłogami oraz białe żupany. Do kontusza noszono pałasz. Zgodnie z opisem przekazanym przez A. Kraushara palestranci nosili też szaraczkowe surduty ze sztywnymi kołnierzami i krótkie peleryny. Na głowach mieli sukienne czapki. Wchodząc do sądu należało odłożyć broń, zdjąć płaszcz czy pelerynę oraz czapkę. Przejściowo, w latach osiemdziesiątych XVIII wieku, panowała moda na stroje francuskie i pudrowane peruki, ale wraz ze wzrostem nastrojów patriotycznych w okresie Sejmu Czteroletniego powrócono do tradycyjnych polskich ubiorów. Również służbę stylizowano, w zależności od panujących trendów, na kozaków, lokajów, strzelców czy huzarów. Palestrant poruszał się po mieście z szablą u boku lub z grubą laską. Aplikant nosił też za pasem przybory do pisania, a wśród nich kałamarz „tyle pożytku, szczególnie w bójkach, przynoszący”.²¹

IV. Podejmując próbę podsumowania dotychczasowych wywodów, trzeba stwierdzić, że droga do adwokatury w przedrozbiorowej Rzeczypospolitej nie była w XVII i XVIII wieku najłatwiejsza. W odniesieniu do tych stuleci można mówić o istnieniu nie jednej palestry, ale raczej palestr przy poszczególnych sądach, toteż stopień trudności dostępu do palestry uzależniony był od rodzaju sądu, przy którym ona funkcjonowała. Brak formalnego określenia zasad aplikacji powodował wynaturzenia, objawiające się m.in. w nadmiernie długim lub zbyt krótkim okresie szkolenia czy braku właściwej opieki ze strony patrona. Można uogólnić, że praca i nauka podczas aplikacji popłycały, gdyż umiejętności zawodowe szybko były doceniane. Pracujący pilnie aplikant zwiększał swe dochody i przeważnie robił potem karierę zawodową. Trudno jednoznacznie ocenić poziom merytoryczny dependentów. Zależał on od wymagań stawianych przez praktykę i mierzony był stopniem osiągniętej w pracy skuteczności. Dlatego aplikant przy sądzie grodzkim czy ziemskim, choć miał mniejszą wiedzę prawniczą od aplikanta w sądzie asesorskim, również mógł dobrze prosperować.

Palestra, a więc i dependenci, była elementem ówczesnego sądownictwa i częścią społeczeństwa staropolskiego. Wspólne więc były zarówno wady jak i zalety. Podkreślenia wymaga natomiast fakt, że wielu byłych aplikantów, nawet nie trudniących się potem zastępstwem procesowym, na trwałe wpisało się do dziejów narodowych tak przez działalność patriotyczną (F. Barss, J. Wybicki), jak i kulturalną oraz naukową (A. Feliński, F. Karpiński, K. Koźmian).

Obraz życia dawnych aplikantów zarysowany na podstawie źródeł jest bardziej zróżnicowany i wielostronny niż zachowany w tradycji i zawarty

²¹ Zob. m.in.: A. Kraushar: *O palestrze staropolskiej*, Warszawa 1882, s. 43–44; Z. Mayer: *Wizerunek Trybunału Koronnego, studium prawnobyczajowe*, Lwów 1929, s. 52–53.

w charakterystyce Z. Glogera w Encyklopedii Staropolskiej: „Słynęli ci dependenci z dzielności ręki do szabli, pamięci do artykułów prawa i gardła do kielicha”.

MIĘDZY NAMI

1.

ROZMOWA Z ADWOKATEM HANNA STYPUŁKOWSKĄ-GOUTIERRE *



Foto Anna Stypułkowska

● *Z zaskoczeniem dowiedziałem się, że pani Mecenas nie była w Polsce. Skąd zatem ta poprawna, powiem nawet piękna Pani polszczyzna?*

— To prawda, nigdy nie byłam w Polsce. Urodziłam się w Anglii, ale wychowywałam się w polskiej rodzinie o dużych tradycjach. Mój dziadek

* Adw. H. Stypułkowska-Goutierre jest przewodniczącą Komisji Międzynarodowej Związku Młodych Adwokatów w Paryżu.